

Wyspy szczęścia

Seria

ROMANSOTERAPIA

LAURA ORSETTI

**Wyspy
szczęścia**



Copyright © by Laura Orsetti, 2023
Copyright © for this edition by Faros Wydawnictwo
Warszawa 2023
All rights reserved

ISBN 978-83-964687-6-5

ROZDZIAŁ 1

„Należy wiedzieć, jakie wojny warto toczyć” zwykł mawiać mój ojciec. Ja nie wiedziałam, ale nie miało to znaczenia. I tak nie toczyłam żadnych. Z uległością podporządkowywałam się losowi, który robił ze mną, co chciał. Z pokorą znosiłam jego wiry i meandry, długo sądząc, że nie da się inaczej.

Przypadek sprawił, że trafiłam na gładką toń i dobry wiatr. Na chwilę stałam się sterem, żeglarzem i okrętem. Ta chwila wystarczyła. Odmieniła całe moje życie, zamykając drogę powrotu do tego, co było kiedyś.

Nie myślcie, że porównanie do okrętu było przypadkowe. Nie było. To okręt, a właściwie ogromny statek, wycieczkowiec, był początkiem wszystkiego. Katalizatorem zmian, w wyniku których szara myszka zamieniła się w lwicę. Dzięki niemu jestem teraz tu, gdzie jestem, mając u boku mężczyznę i dziecko, dla których zrobiłabym wszystko.

Ale zacznę od początku. Oto moja historia. Posłuchajcie.

* * *

Kiedy zadzwonił budzik, najpierw uderzyłam go ręką, a potem jęknęłam i schowałam głowę pod poduszkę. Nie wiem, po co to zrobiłam, w sypialni i tak było ciemno, słońce miało wzejść dopiero za półtorej godziny. Listopad już taki jest, mroczny i ponury. Wszyscy tęsknią za światłem, ale mnie najbardziej brakuje wtedy kolorów. Wysunęłam głowę dopiero wtedy, gdy zaczęłam się dusić. Jak zwykle chciałam zadzwonić do pracy i powiedzieć, że dziś nie przyjdę. Wymyśleć na poczekaniu jakieś drobne kłamstwo. Była to moja pierwsza myśl każdego poranka, od poniedziałku do piątku.

Nie zrozumcie mnie źle, moja praca była dla mnie ważna i bardzo ją lubiłam. Od trzech lat nie zdarzyło się, bym opuściła choć jeden dzień. Nie licząc urlopów, rzecz jasna. Ale lubić pracę, a lubić ludzi, z którymi przyszło nam ją dzielić, to dwie różne sprawy. Pewnie coś o tym wiecie.

Wstałam jak zwykle. Żadnych wymówek. Pijąc kawę, wyjrzałam przez okno. Żarówka na werandzie oświetlała gęste płatki śniegu, które bezlitośnie sypały się z nieba. Zaledwie wczoraj odśnieżone podwórko, dziś wyglądało jak opuszczona stacja badawcza na Antarktydzie. Ten miesiąc nie powinien nazywać się listopad. Wszystkie liście pospadały już dawno temu. Bawiłam się przez chwilę w wymyślanie nowej nazwy. Śniegopad? Płatkopad? Bezliścień? Zawsze to robiłam, szu-

kałam wymówek, by jak najpóźniej wyjść z domu. Ale czas naglił i nie mogłam dłużej się ociągać. Westchnęłam i owinęłam się szczelnie długą, puchową kurtką, nakładając na głowę czapkę i kaptur. Wyglądałam jak Buka z Muminków, ale przynajmniej mogłam mieć nadzieję, że nie zamarznę.

Trzeci dzień z rzędu miałam jechać autobusem. Pewnie ci z was, którzy mieszkają w mieście, jeżdżą tak do pracy codziennie, nie widząc w tym nic niezwykłego. Ja jednak mieszkałam w Zalesiu. To mała wioska położona... tak, zgadliście, za lasami. Czasami wydawało mi się, że także za górami i nieważne, co na ten temat mówił atlas geograficzny. To koniec świata. Autobusy kursowały tu co dwie godziny. Przyspieszyłam kroku, sunąc jak łyżwiarz i klnąc w myślach swoją poranną opieszałość. Co prawda do odjazdu zostało piętnaście minut, więc powinnam być na przystanku grubo przed czasem, ale zdarzało się, że autobus przyjeżdżał wcześniej. Zdarzało się także, że przyjeżdżał później, ale w żaden sposób nie można było przewidzieć, o której pojawi się na zaleskiej drodze rano konkretnego dnia.

Zdyszana, usiadłam na drewnianej ławce wewnątrz wiaty, która na szczęście dobrze chroniła przed wiatrem. Byłam jedyną oczekującą pasażerką. O tej porze nikt w Zalesiu nie poruszał się komunikacją publiczną.

W każdym domu był samochód, który umożliwiał dotarcie do celu w komforcie i bez zbędnego pośpiechu.

Czekałam i czekałam. Dziś był ten dzień, w którym autobus się spóźniał. To było do przewidzenia. Gdybym to ja się spóźniła, on odjechałby przed czasem.

Wokół nie działo się kompletnie nic, tylko śnieg i parę świateł w oknach, gdzieś w oddali. Zaczęłam się nudzić. Dla zabawy powtykałam palce w otwory ławki, sprawdzając, który palec zmieści się w który otwór. To było jak zabawka sensoryczna, którą tak lubią młodsze dzieci. Muszę przyznać, że faktycznie dostarczała pewnej rozrywki, przynajmniej w tych okolicznościach. Wtedy właśnie pojawił się autobus. Zobaczyłam, jak wyłania się zza zakrętu, zmierzając powoli w moją stronę. Był jeszcze daleko, ale poznałam go po charakterystycznych światłach. *Zalesie Górka* to przystanek na żądanie. Musiałam wstać, wyjść przed wiatę i pomachać kierowcy, by się zatrzymał. Łatwo powiedzieć, wstać, wyjść i pomachać. W tej chwili nie było to absolutnie możliwe: nie mogłam wyjąć dwóch palców, zaklinowały się z powodu rękawiczek. Mocowałam się z nimi dłuższą chwilę, bez skutku. Przykuta do ławki bezsilnie patrzyłam, jak autobus mija moją wiatę i odjeżdża w siną dal.

Kiedy wreszcie udało mi się uwolnić, nie wiedziałam, co robić. Mogłam czekać dwie godziny na kolejny

autobus i spóźnić się do pracy lub... Westchnęłam. Wybrałam drugie wyjście i zadzwoniłam do swojego męża. Odebrał po trzecim dzwonku.

– Co jest? – spytał zaspanym głosem. Kiedy wsta-
wałam, chrapał w najlepsze. Nawet mój budzik nie był
w stanie go obudzić.

– Uciekł mi autobus. Zawieziesz mnie do pracy?

– Mówisz poważnie? Akurat dzisiaj? Przecież wiesz,
że wczoraj późno wróciłem. Miałem nadzieję, że uda
mi się pospać do dziewiątej! – Był wściekły.

– Wiem, ale to nie moja wina – skłamałam. – Bardzo
cię proszę...

– Nie ma mowy. Wracaj do domu, pojedziesz następ-
nym!

– Jeśli pojedę następnym autobusem, spóźnię się do
pracy i Piasecka urwie mi głowę!

– Co ci ma urwać głowę, przecież ty się jeszcze nigdy
nie spóźniłaś. Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Piasecka była moją szefową. Z jakiegoś powodu nie
znosiła mnie i szukała pretekstu, by pozbyć się mnie
z zespołu. Pierwsze spóźnienie mogło być moim ostat-
nim.

– Łukasz, nigdy cię o nic nie proszę. To dla mnie na-
prawdę ważne. Zresztą i tak już nie śpisz.

– Teraz nie śpię, ale za chwilę mogę znowu zasnąć.
A jeśli wstanę i wyjdę z domu, to na pewno nie wrócę

już do łóżka. Nie możesz zadzwonić do Elki? To twoja przyjaciółka, jedzie w tę samą stronę, niech cię podrzuci.

– Elka nie nocowała dziś w Zalesiu. Nie może mnie podrzucić.

– To jedź następnym autobusem – oznajmił kategorycznie. Zamierzał spławić mnie i się rozłączyć. Sięgnęłam po ostateczny argument.

– Jak chcesz. W takim razie wracam i zabieram swój samochód. Jak wstaniesz o dziewiątej, możesz zadzwonić po Irka, żeby po ciebie przyjechał.

Irek był wspólnikiem mojego męża. Razem prowadzili warsztat samochodowy, do którego Łukasz dojeżdżał od kilku dni moim autem. Jego było w naprawie. Naprawie, która przeciągała się, a którą mój mąż przeprowadzał sam, we własnym warsztacie. Nie pytajcie. Podobno mieli mnóstwo zleceń, nie wyrabiali się i musieli odłożyć prywatne sprawy na później. Zresztą, skoro miał do dyspozycji mój samochód, to nie musiał się spieszyć.

– Jesteś podła – wysyczał do telefonu. – Tyle razy o tym rozmawialiśmy. Muszę mieć samochód, bo dużo jeżdżę. A ty zostawisz go na cały dzień na parkingu i będzie tak stał. Poza tym żyjemy na dobrym poziomie wyłącznie dzięki mojej pensji. Ty mogłabyś rzucić swoją pracę w cholere, a i tak byśmy tego nie odczuli!

Nie była to prawda, ale pozwoliłam mu na wylanie jadu.

– Dobrze, przyjadę po ciebie – zgodził się łaskawie na koniec. – Ale po raz ostatni. Od jutra, jeśli spóźnisz się na autobus, będziesz radzić sobie sama.

Po dwudziestu minutach pod wiatę podjechała srebrna corolla. Moja srebrna corolla. Łukasz nie spieszył się. Siedział za kierownicą obrażony, nie patrząc w moją stronę, nawet wtedy, kiedy otworzyłam drzwi i wsiadłam do środka. Ruszył z furją, zanim zdążyłam zapiąć pasy.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Na skrzyżowaniu włączyłam kierunkowskaz. W lewo.

– Co robisz?! – krzyknęłam. – Nie jedź przez Rozłogi! Skręć w prawo!

– Nie zachowuj się jak dziecko. Przez Rozłogi jest bliżej.

– Nie jest bliżej, jest dalej! Poza tym przecież wiesz, jak bardzo nie lubię tędy jeździć!

– Czasowo jest bliżej. Poza tym, ile jeszcze będziesz się tak zachowywać? To głupie.

Nie odpowiedziałam. Byłam pewna, że wybrał tę drogę specjalnie, by zrobić mi na złość. Kiedy przejeżdżaliśmy obok białego, piętrowego domu, zamknęłam oczy. Znałam to miejsce bardzo dobrze. Mieszkałam tu przez wiele lat. Powinnam pewnie nazywać je domem

rodzinnym, ale nie było to możliwe z kilku powodów. Nie wiem, którego nienawidziłam bardziej.

Choćbym nie wiem jak mocno zaciskała powieki, ten dom zawsze przywoływał wspomnienia. Tak było i tym razem. Minęło już wiele lat, ale ja nadal miałam wrażenie, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj.

Moi rodzice marzyli o domu. Mieszkaliśmy w wynajętym mieszkaniu, ale oni zaciskali pasa i oszczędzali, by kiedyś zamieszkać na swoim. W dniu, w którym kupili działkę, byli w siódmym niebie. Z tej okazji pojechaliśmy całą rodziną na smażoną rybę, a potem na lody. To był najpiękniejszy dzień w moim życiu. Razem z bratem cieszyliśmy się i snuliśmy plany, jak urządzimy nasze pokoje. Pamiętam, że brat chciał mieć w swoim zielone ściany, na których wieszałyby plakaty ulubionych piłkarzy.

– Zielone? – dziwiła się mama. – Przecież będzie strasznie ciemno.

– Nie, nie będzie ciemno. Będzie jak murawa. Zawsze o takich marzyłem! – ekscytował się Franek.

– No dobrze – zgodziła się ze śmiechem mama. – Dostaniesz swoją zieloną ścianę! A ty, Ania – zwróciła się do mnie – na jaki kolor planujesz pomalować swój pokój?

– Pewnie na różowo – ubiegł mnie brat. – Ona wszystko by tylko różowe chciała!

Skinęłam głową. Franek miał rację. Od czasu jak wkroczyłam w fazę różu nic nie zapowiadało, bym prędko miała z niej zrezygnować.

Rodzice zaczęli budowę domu. Mieli dla nas mniej czasu, ale nie narzekaliśmy, bo znaleźmy powód. Ojciec pracował dłużej, bo nowy dom pochłaniał masę pieniędzy. Na dodatek każdą wolną chwilę spędzał na budowie, żeby dopilnować wykonawców. Mama pomagała mu jak mogła. Mury rosły, a my z bratem nie mogliśmy doczekać się dnia, w którym wyprowadzimy się z ciasnego mieszkania, gdzie dzieliliśmy pokój.

Wtedy wydarzyła się pierwsza tragedia.

Pewnego wieczoru, kiedy rodzice wracali z placu budowy, wjechał w nich pijany kierowca. Ojciec wyszedł z wypadku praktycznie bez szwanku i jakimś cudem udało mu się wydostać matkę z płonącego wraku. Była w ciężkim stanie – bok samochodu od strony pasażera uderzył w drzewo. Niestety, zanim przyjechała karetka, mama umarła na jego rękach, nie odzyskując przytomności.

Pogrążyliśmy się w żałobie. Ojciec, który do szaleństwa kochał swoją żonę, schudł jakieś dwadzieścia kilo. Na zdjęciach z tamtego okresu wygląda jakby przechodził ciężką chorobę. I tak właśnie było. Zresztą chyba nigdy nie wyleczył jej, bo objawy depresji towarzyszyły mu nawet wtedy, gdy pozbierał się na

tyle, by zapewnić nam w miarę normalne życie. Do-kończył budowę domu, choć tak naprawdę całej naszej trójce było już wszystko jedno. Wprowadziliśmy się tam trzy lata po śmierci mamy. Wszystkie ściany pomalowaliśmy na biało i nie przejmowaliśmy się specjalnie urządzeniem wnętrza. Umeblowaliśmy pomieszczenia przypadkowo dobranymi przedmiotami, kierując się jedynie ich funkcją użytkową. Z jednym wyjątkiem. Pokój mamy urządziliśmy dokładnie tak, jak tego chciała i opisała w dniu, w którym wszyscy byliśmy tacy szczęśliwi. Przez następne lata pełnił funkcję rodzinnej kaplicy – przychodziliśmy tu, żeby z nią porozmawiać i zasięgnąć jej rady, jeśli mieliśmy taką potrzebę. Czasem odpowiadała. Nie dosłownie, oczywiście. Ale zsyłała nam znaki, dzięki którym podejmowaliśmy decyzje. Tak nam się przynajmniej wydawało. Byliśmy dziećmi i bardzo chcieliśmy wierzyć, że nasza mama nie odeszła naprawdę, tylko stała się niewidzialna.

Życie jakoś się toczyło, momentami lepiej lub gorzej. Ale najważniejsze, że byliśmy rodziną i mieliśmy siebie.

Wtedy wydarzyła się kolejna tragedia.

Był lipiec, tydzień przed moimi osiemnastymi urodzinami. Ojciec uparł się, by urządzić z tej okazji huczną imprezę. Pewnie sądził, że to spodobałoby się ma-

mie. Zaprosił wszystkich moich przyjaciół oraz dalszą rodzinę. Pogoda była piękna, dlatego postanowiliśmy, że urodziny odbędą się w ogrodzie, w altanie, którą już od kilku dni budował razem z moim bratem.

Nadal trudno mi uwierzyć w to, że ten z pozoru niewinny pomysł zakończył się tak wielką katastrofą. Nigdy nie zapomnę, co się wtedy wydarzyło. Pamiętam tamten dzień z najdrobniejszymi szczegółami: barwy, dźwięki, zapachy... Wszystko. Stałam przy otwartym kuchennym oknie, pilnując bulgoczącego na gazie kompotu. Patrzyłam, jak mój ojciec i brat męczą się z kopaniem kolejnego dołka.

– Tato, tu coś jest, coś twardego – krzyknął nagle Franek.

– To gład narzutowy, pełno ich na tym terenie – odpowiedział ojciec. – Trzeba go wydobyć. Duży jest?

– Nie wiem, chyba tak. Może wkopię się obok?

– No dobra, spróbuj. – Ojciec ruszył w stronę brata, żeby mu pomóc.

Franek zamachnął się rydlem i z impetem wbił go w ziemię. W tym momencie dostrzegłam, jak spod ziemi tryska snop iskier. Krzyknęłam i wybiegłam z domu.

– Nie idź tam! – wrzasnął mój kuzyn, który pomagał przy pracach w innej części ogrodu. – To prąd, oni uszkodzili linię wysokiego napięcia! Zostań, gdzie jesteś!

Po kilku minutach na podwórzu zaroilo się od ludzi. Nadbiegli sąsiedzi, wkrótce po nich nadjechała straż pożarna oraz pogotowie. Ojciec i brat zostali zabrani do szpitala.

Franka nie udało się uratować, zmarł po kilku godzinach. Ojciec przeżył, ale kiedy odzyskał przytomność i dowiedział się, co zaszło, zupełnie się załamał. Przesłał jeść, pić i mówić. Leżał w łóżku i nie można z nim było nawiązać żadnego kontaktu. Po kilku tygodniach wypisano go z oddziału wewnętrznego prosto na psychiatrię. Odwiedzałam go najpierw codziennie, a potem, kiedy zaczęły się studia i praca, kilka razy w miesiącu. Mimo zapewnień lekarzy, że potrzeba jedynie czasu, by doszedł do siebie, tak się nie stało. Już nigdy nie odezwał się do mnie ani słowem. Pochowałam go dwa i pół roku temu, w grobie obok mamy i brata.

– Możesz przestać zachowywać się jak histeryczka. Już minęliśmy ten dom – oznajmił mój mąż.

Otworzyłam oczy i otarłam łzy, które same poleciały, choć starałam się je powstrzymać. Na nic zdały się moje wysiłki, po chwili i tak się rozpłakałam. Właśnie przejeżdżaliśmy obok miejsca, w którym umarła moja matka. Stał tam metalowy krzyż, który postawiliśmy wraz z ojcem i Frankiem. Zapalaliśmy pod nim znicze, zanosłam tam też kwiaty, które zrywałam na łące i wianki, które plotłam specjalnie dla niej.

Tak, moja matka umarła nieco ponad kilometr od miejsca, w którym stanął nasz dom, co wtedy nie wydawało nam się dziwne czy szokujące. Przynajmniej mogliśmy często odwiedzać to miejsce, by pomodlić się pod krzyżem. Po śmierci Franka chciałam jednak wynieść się na koniec świata. Niezbyt mi to wyszło – udało mi się uciec zaledwie do sąsiedniej wioski.

– Nie rycz, głupia jesteś. Stara krowa, a taka histeryczka. – Mój mąż zachowywał się jak skończony dupek. Najpierw robił wszystko, żeby wyprowadzić mnie z równowagi, a potem wytykał mi słabość charakteru. Może i faktycznie po tylu latach powinnam trzymać się lepiej, ale z jakiegoś powodu czas nie uleczył ran. Rozklejałam się za każdym razem, kiedy przejeżdżałam tą drogą. Wiedział o tym dobrze i na ogół oszczędzał mi tych emocji. Chyba, że chciał mnie ukarać, tak jak teraz.

– Coś się stało? – spytała Elka, moja najlepsza przyjaciółka, kiedy weszłam do szatni.

– Spóźniłam się na autobus, Łukasz musiał mnie odwiedzić. – Otarłam resztki łez. Nie chciałam, żeby Pia-secka, moja szefowa, zobaczyła mnie w takim stanie. Triumfowałyaby do końca dnia.

– Co tym razem zrobił ten skończony kretyn? – Elka nie cierpiała Łukasza. Z wzajemnością.

– Znasz go... – Machnęłam lekceważąco ręką. Chciałam już o wszystkim zapomnieć.

– Znowu nie wrócił na noc? – drążyła. – Powinnaś krócej go trzymać. Cholera wie, co wyprawia, kiedy nie widzisz.

– Mamusiu, a pani Eja powiedziała chojeja – dobiegło zza ściany.

– Ciiii... – Przyłożyłam palec do ust. Nasza szatnia sąsiadowała z szatnią dzieci, a te miały wbudowane radary i momentalnie wychwytywały słowa, których nie powinny słyszeć. Nie mówiąc o znudzonych mamusiach, które uwielbiały plotkować.

– No co, przecież wiesz, że mam rację – ściszyła głos Elka. – Jak możesz tolerować te jego późne powroty.

– To nie takie proste. – Pokręciłam głową. – Rozkręca interes, wiele rzeczy wymaga dłuższej pracy.

– Taaaaa... – odpowiedziała z powątpiewaniem. – Rozkręca interes? Chyba kręci swoim własnym. Na lewo i prawo. Powinnaś być bardziej czujna.

– Wy, dziewczynki, jeszcze tutaj? – Piasecka zajrzała do szatni. – Szybciutko się rozbierajcie i pomóżcie Moniczce, sama jest na sali z dziećmiaczkami. Już, już! – Klasnęła w dłonie.

Spojrzałam na Elkę, przyjaciółka przewróciła teatralnie oczami. Rozpoczął się kolejny dzień w Przedszkolu Kubusia Puchatka, w którym byłam wychowawczynią. Moja grupa nazywała się *Promyczki*, Elki – *Krasnalki*. Dzieciaki były wspaniałe, choć czasami

miałam ochotę udusić tego czy innego rodzica. Albo dyrektorę.

– Aha, pani Aniu – głowa Piaseckiej ponownie pojawiła się w szatni – znowu były na panią skargi.

– Znowu? Kto tym razem?

– Tak jak poprzednio, nie mogę powiedzieć. Ale to były inne osoby, chociaż znów chodziło o lekcje angielskiego. Podobno nadal stresuje pani nasze dzieciaczki. Jeśli takie sytuacje będą się powtarzać, będziemy musiały jeszcze raz omówić metodologię. Nie życzę sobie w swoim przedszkolu żadnych nieudanych eksperymentów.

– Skargi... a idź w chojeję! – Kiedy tylko Piasecka znikła w korytarzu, Elka wykonała w stronę drzwi gest Kozakiewicza. – Nie wierzę w żadne jej słowo. Nikt się na ciebie nie skarży, wszyscy rodzice cię uwielbiają. Ona to wie i czuje się zagrożona. Widzi w tobie konkurencję, bo masz za dużo entuzjazmu i chce ci się coś robić. Ona najchętniej dosypywałaby coś tym dzieciakom do mleka, żeby przesypiały cały dzień i dały jej święty spokój.

– A co ja mogę dosypać do jej mleka, żeby dała mi święty spokój? – spytałam z żalem w głosie. Piasecka krytykowała moje pomysły i nieustannie mnie strofowała, również przy dzieciach i ich rodzicach.

– Nie przejmuj się! – Elka pocieszająco poklepała mnie po ramieniu. – Rób swoje. Kiedyś na pewno ktoś

cię doceni. Choć z całą pewnością nie będzie to ani Piasecka, ani twój mąż...

Kiedy nadszedł czas na angielski, moje *Promyczki* z radością usiadły w kółku. Uwielbiały się uczyć i zaczęłam podejrzewać, że Elka może mieć trochę racji. Piasecka od początku nie chciała, żebym wprowadzała dzieciom naukę języków obcych, bo „jej się jeszcze rodzice tu rozochocą i będą chcieli coraz więcej”. Paradoksalnie, to właśnie rodzice wymusili na niej zajęcia z angielskiego. A jako że byłam jedynym pracownikiem, który znał ten język, stałam się dla przedszkola chwilowo niezbędną. Piasecka, póki co, nie mogła się mnie pozbyć, choć robiła wszystko, by przyłapać mnie na jakimś przewinieniu.

Po angielskim przemyciłam dzieciakom kilka słów po hiszpańsku. Tym językiem posługuje się ponad pięćset milionów ludzi na całym świecie, chciałam więc, by się z nim chociaż osłuchały. Kiedyś na wsi nie przykładano wagi do takich rzeczy, na szczęście szybko się to zmieniało. Teraz praktycznie każdy miał w rodzinie kogoś, kto wyemigrował. Kiedy krewni wracali, przywozili ze sobą dwujęzyczne dzieci. A przecież byłoby super, gdyby mali kuzyni mogli ze sobą pogadać nie tylko po polsku, prawda?

Popołudnie minęło spokojnie. Mój dzień pracy powoli zbliżał się do końca. Układałam na półkach zapomniane misie, czekając cierpliwie na ostatnich rodzi-

ców. W końcu w mojej sali została jedynie dwójka dzieci, rodzeństwo Eryk i Lucynka. Ich matka jak zwykle się spóźniała, choć jej akurat byłam w stanie to wybaczyć.

– Cóż to, Szklarskiej nadal nie ma? – Piasecka swoim zwyczajem wepchnęła głowę do środka, pozostawiając tułów na korytarzu. Przyjrzała się surowo Erykowi i Lucynce, jakby to oni byli winni temu, że ich matka notorycznie się spóźniała. – Jak się pojawi, niech pani zwróci na nią uwagę. Ostatnio dziwnie się zachowywała, może coś bierze. Nie wiem, czy MOPSu nie powinniśmy zawiadomić – dodała scenicznym szeptem.

Jeszcze rok temu Aneta Szklarska miała piękny dom, męża i trójkę dzieci. I ogród, w którym urządziła plac zabaw. Któregoś popołudnia dzieci jak zwykle bawiły się na zewnątrz. Ogród był ogrodzony, więc bezpieczny, jak się wszystkim wydawało. Nagle Eryk przybiegł do matki z informacją, że Maciuś, najmłodsze dziecko, przestał się ruszać. Kiedy Aneta znalazła go na zjeżdżalni, już nie oddychał. Jego szalik zaczepił o uchwyt drabinki na szczycie i dziecko udusiło się pod ciężarem własnego ciała, ślizgając się w dół.

Aneta trafiła do szpitala psychiatrycznego, tego samego, w którym przebywał kiedyś mój ojciec. Wyszła z niego kilka miesięcy temu. Jej małżeństwo rozpadło się, ale ona musiała poskładać samą siebie, chcąc odzyskać prawo do opieki nad pozostałą dwójką dzieci.

Sprawę komplikował fakt, że Eryk miał zespół Downa. Piasecka od początku była przeciwna temu, żeby przyjąć go do naszego przedszkola, w końcu nie było integracyjne. Mieszkaliśmy jednak na wsi, tu wszyscy się znali i pomagali sobie nawzajem. Piasecka wreszcie uległa presji i zrobiła wyjątek. Eryk okazał się grzecznym i rezolutnym dzieckiem, nigdy nie sprawiał kłopotów większych niż pozostałe przedszkolaki.

W czasie, kiedy dzieci przebywały u nas, Aneta pracowała, reperując kruchy domowy budżet. Faktycznie wyglądała źle: miała podkrążone oczy i wiecznie rozczochrane włosy. Ale była troskliwą matką i poza notorycznymi spóźnieniami nie miałam do jej zachowania żadnych zastrzeżeń.

Nie muszę chyba dodawać, że z powodu życiowych tragedii, które nas w jakimś sensie połączyły, silnie utożsamiałam się z tą rodziną i każdy atak na Anetę odbierałam jako atak na mnie. Może mało to profesjonalne, przyznaję, ale tak właśnie było. W Eryku i Lucynce widziałam siebie i swojego brata. W szczególny sposób pilnowałam, żeby ta dwójka była zawsze najedzona, czysta i zadbana.

Aneta Szklarska zjawiała się po kwadransie, jak zwykle przepraszając za spóźnienie. Emanował z niej żal. Rozkwitła dopiero wtedy, gdy przytuliła swoje dzieci. Chwilę porozmawiałam z nią, czekając, aż je ubierze.

Nadal nie dostrzegałam w jej zachowaniu niczego dziwnego ani niepokojącego. Piasecka jak zwykle zmyślała na temat ludzi, których nie lubiła.

Wyszłam z przedszkola jako jedna z ostatnich. O tej porze, jak to w listopadzie, na zewnątrz było już ciemno. Nadeszła odwilż i brodziłam teraz w błocie. Niepotrzebnie tak narzekałam na śnieg... Na szczęście do przystanku nie miałam daleko i wkrótce siedziałam w na wpół pustym autobusie do Zalesia, studiując książkę do włoskiego, którego jakiś czas temu zaczęłam się uczyć. To piękny język, powinnam się była zainteresować nim już wcześniej. Mówiłam płynnie po angielsku, niemiecku, francusku i hiszpańsku. Potrafiłam dogadać się po portugalsku i rosyjsku. Moi nauczyciele ze szkoły średniej twierdzili, że miałam dar do języków, ja jednak nie widziałam w tym nic niezwykłego. Jeden jest dobry z matmy, inny z chemii. Ja miałam głowę do słówek i gramatyki.

W Zalesiu taka umiejętność na niewiele mogła mi się jednak przydać. Bo niby do czego? Do czytania książek w oryginale? Może gdybym mieszkała w Warszawie lub Krakowie... Tylko co ja miałabym robić w dużym mieście? Studia z pedagogiki skończyłam zaocznie, a języków uczyłam się sama i nie miałam żadnych certyfikatów na potwierdzenie swoich umiejętności. Nie miałam też pieniędzy, aby za nie zapłacić.

Równie dobrze mogłam zdobyć mistrzostwo Polski w skoku na trampolinie. No dobrze, może przesadzam, w końcu angielski przydawał się dzieciakom w przedszkolu. Ale taka prawda, moja znajomość języków obcych była po prostu ekscentrycznym hobby.

Wysiadłam w Zalesiu i powlekłam się w stronę domu. Do przejścia miałam spory kawałek i już po dziesięciu minutach poczułam, jak przemakają mi buty. Podwórko przywitało mnie głęboką ciemnością. Otwierając kluczem drzwi wejściowe musiałam poświecić sobie komórką. Łukasz nie napisał, o której wróci, ale po dzisiejszym poranku wcale za nim nie tęskniłam. Odgrzałam sobie wczorajszy obiad, który specjalnie dla niego zostawiłam w lodówce, a którego nie ruszył, bo pracował do późna. Jeśli dziś wróci wcześniej, będzie musiał zrobić sobie tosty.

Był wczesny wieczór, a raczej bardzo późne popołudnie, choć obsydianowa czerń za oknem sugerowała północ. Miałam w domu sporo do zrobienia, ale zwlekałam jak mogłam z zabraniem się za obowiązki. Otworzyłam komputer, by przejrzeć swoją pocztę. Po dzisiejszym dniu nie spodziewałam się niczego dobrego, raczej maili przypominających o niezapłaconych rachunkach.

Nie mogłam mylić się bardziej.

„Informacja o wygranej”. Ten tytuł wiadomości od razu zwrócił moją uwagę, choć w pierwszej chwili po-

myślałam, że chodzi o jakieś oszustwo. Coś w rodzaju: „Szanowna Pani, gratulujemy, wygrała Pani główną nagrodę, którą jest samochód. Aby go odebrać, prosimy o przesłanie imienia, nazwiska, adresu oraz numeru Pani karty kredytowej”. Nadawcą było jednak Wydawnictwo Faros. Dlaczego jakieś wydawnictwo miałoby informować mnie o wygranej?

Kliknęłam w wiadomość: „Gratulujemy! Pani propozycja tytułu serii romansów podróżniczych podbiła nasze serca. Są to książki, które chcemy skierować do wymagających Czytelniczek, szukających oryginalnych historii. Ich akcja będzie się toczyć w dalekich, egzotycznych krajach, co pozwoli naszym Czytelniczkom choć na chwilę oderwać się od codziennych problemów i przenieść na drugi koniec świata, by przeżyć piękne emocje wraz z bohaterami opowieści. Nasz zespół redakcyjny jednogłośnie zdecydował, że tytuł *Romansoterapia* idealnie oddaje misję i wizję nowej serii”.

Patrzyłam w ekran komputera, nie wierząc własnym oczom. Chwyciłam za telefon i wykręciłam numer Elki.

– Szybko się za mną stęskniłaś, he, he – rzuciła na powitanie.

– Słuchaj – odpowiedziałam, rozgorączkowana. – Pamiętasz, jak we wrześniu pojechałyśmy na Targi Książki?

– Taaak? – odpowiedziała z nutą podejrzliwości.

– Tam było stoisko takiego wydawnictwa, które organizowało konkurs na nazwę nowej serii romansów. Wypełniłam kupon i wrzuciłam do skrzynki.

– No i?

– Wyobraź sobie, że właśnie dostałam od nich wiadomość. Moja propozycja im się spodobała i przyznali mi główną nagrodę!

– Super, gratuluję! Co wygrałaś? Przyślą ci jakieś książki?

– Nie uwierzysz, wysyłają mnie na Karaiby!

– Co takiego? – Elkę zamurowało. Nic dziwnego. Po przeczytaniu tej informacji ja też siedziałam z otwartą buzią przez dobrych parę sekund.

– Wysyłają mnie na Karaiby! Ogromnym wycieczkowym statkiem. Posłuchaj, jaki jest plan rejsu: Gwadelupa, Wyspy Dziewicze, Dominika, Saint Kitts i Nevis, Antigua, Martynika... – czytałam egzotyczne nazwy jednym tchem. – Mój Boże, ja o większości tych miejsc nawet nie słyszałam!

– Ale jak to Karaiby? Jakim cudem?!

– No takim, że ten rejs był główną nagrodą. Ale nigdy nie spodziewałam się, że ją wygram! „Romantyczny tydzień *all inclusive* dla dwóch osób, na pokładzie pięknego wycieczkowca *Amore Mio*”. Tak tu jest napisane! Spędzimy siedem dni na Morzu Karaibskim. Łukasz padnie z wrażenia, kiedy mu powiem!

– Bez dwóch zdań. Ja już padłam, choć nie jadę. Twój mąż nie zasługuje na ten rejs, weź mnie zamiast niego!

– Wtedy mogłabym już nie wracać. On zawsze marzył o dalekich podróżach, nigdy by mi tego nie wybaczył. Ale obiecuję, że jesteś pierwsza na liście rezerwowej.

– Niewielkie pocieszenie, ale dzięki choć za to! – parsknęła Elka. – Ania, żarty żartami, ale naprawdę bardzo się cieszę. Zazdroszczę, ale się cieszę. – Moja przyjaciółka spoważniała. – Pamiętasz, jak dziś rano powiedziałam ci, że kiedyś na pewno ktoś cię doceni? Zobacz jak szybko się sprawdziło!

Przez następne godziny ślęczałam w Internecie, wyszukując zdjęć i informacji na temat miejsc, które miałam odwiedzić. Nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Nigdy w życiu niczego nie wygrałam. Nigdy w życiu nie byłam też za granicą. Miałam paszport wyłącznie dlatego, że ubiegłe wakacje planowaliśmy z Łukaszem spędzić w Tunezji. Wycieczka nie doszła jednak do skutku. Łukasz otworzył własny warsztat i okazało się, że potrzebował więcej pieniędzy niż początkowo zakładał. Wakacje musiały poczekać.

Tym razem miałam wyruszyć w podróż, o której nie śmiałam nawet marzyć. Już sam statek był cudem techniki. „Największy i najnowocześniejszy wycieczkowiec, jaki kiedykolwiek pływał po ziemskich oceanach”. Tak reklamował go armator, firma Ostia. Wycieczkowiec,

armator... Nie sądziłam, że takie słowa kiedykolwiek mogłyby mieć jakiś związek ze mną. Przecież ja nie wiedziałam nawet jak należy się na takim statku zachowywać. Ani w co ubierać... No właśnie, w co ja się ubiorę?! Ogarnęło mnie przerażenie. Sprawdziłam grudniową temperaturę na Małych Antylach. Nie spadała poniżej dwudziestu pięciu stopni, zwykle oscylowała bliżej trzydziestu. Trochę się uspokołam. Moja letnia garderoba była w nieco lepszej kondycji niż zimowa.

Zajęta snuciem planów nie zauważyłam nawet, kiedy zrobiła się pierwsza w nocy. Musiałam zaraz pójść do łóżka, jeśli chciałam przespać się choć kilka godzin. Wygrana nie zwalniała z obowiązku pracy. Żałowałam, że Łukasz nie wrócił jeszcze do domu. Bardzo chciałam zobaczyć jego minę, gdy usłyszy o rejsie. Kiedy wyjdę rano z domu, on będzie jeszcze spał. O rejsie dowie się dopiero wieczorem, bo przecież nie powiem mu przez telefon. To była informacja z gatunku tych, które wymagają oprawy w postaci świec i szampana. Już wyobrażałam sobie jego reakcję. Pewnie ucieszy się nawet bardziej niż ja.

Chyba musiałam przywołać go myślami, bo w ciemności za oknem rozbłysły nagle snopy światła z reflektorów mojej corolli. Chwilę później usłyszałam kroki Łukasza na werandzie i szcęk klucza przekręcanego w zamku.

Podskoczyłam jak małe dziecko, nie mogąc doczekać się, kiedy usłyszy o rejsie.

– Jeszcze nie spisz? – zdziwił się, wchodząc do pokoju.

– Muszę ci coś powiedzieć... – Staralam się nie okazać zbytniego entuzjazmu, wiadomość miała być niespodzianką. Podeszłam do niego i przytuliłam go na powitanie, jak zwykle.

Odepchnął mnie.

– Ja też muszę ci coś powiedzieć. – Wyglądał strasznie poważnie. – Miałem to zrobić jutro, ale może i lepiej, że załatwimy to od razu.

– Coś się stało? – spytałam.

– Nie ostatnio. To dzieje się już od dłuższego czasu. Sadzę, że ty również to dostrzegasz.

– O czym ty mówisz?

– O nas. A raczej o tym, co z nas zostało. Żyjemy każde z osobna, obok siebie. Jak obcy ludzie. Ja już dłużej tak nie mogę.

– Ale...

– Anka, ja już cię nie kocham. Rozumiesz? Chcę rozwodu.

ROZDZIAŁ 2

Pociąg mknął pośród białych, ośnieżonych wzgórz, a ja połykałam łzy starając się odwrócić twarz od Elki, która siedziała obok. To na nic, moja przyjaciółka widziała wszystko.

– Nie musisz się chować, przecież nie będę prawić ci kazań – powiedziała. – Jeśli chcesz, możesz płakać. Ten drań nie zasługuje na twoje łzy, ale jeśli płacz ma ci pomóc... to czemu nie? Pamiętaj tylko, że to my jedziemy na Karaiby, a on nie! – Ścisnęła moją dłoń.

Podziałało, przestałam płakać. Spojrzałam na nią z wdzięcznością.

Łukasz kazał mi się wyprowadzić z naszego wspólnego domu. Który okazał się tylko jego domem, choć włożyłam w niego pieniądze pochodzące ze spadku po rodzicach. Wybudowaliśmy go jednak na działce Łukasza, a według prawa „dom wybudowany na cudzym gruncie należy do właściciela gruntu”. Tak powiedział mi jego prawnik, mój potwierdził, dziwiąc się, jak mogłam tego nie wiedzieć. No cóż, nie wiedziałam.